Rok IX^ty. † Nr. 28.

Szkółka niedzielna

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela dziewiąta po Zielonych świątkach*, dnia 13. Lipca 1845.

Religia.

Historya nawrócenia mieszkańców wysp gambijskich w Australii.

(Dalszy ciąg.)

Już w Październiku mieli krajowcy wielkie uszanowanie dla Maryi. Kiedy jeden z Ojców otworzył raz brewiarz, postrzegł jeden z dzikich obraz Wniebowzięcia Maryi, tak, iż Kapłan nie uważał tego. Zaraz chciał on obraz bliżéj obejrzeć i wykrzyknął z podziwienia; potém chciał go wszystkim pokazać. Ojcowie musieli wytłumaczyć, co obraz przedstawia, i rzekli: „Obraz, który widzicie, jest obrazem Maryi. Marya jest bardzo dobra niewiasta. Jest w niebie, gdzie Boga ogląda.“ Odtąd chciał każdy Maryą widzieć. Gdziekolwiek spotkali Kapłanów, wołali na nich: „Pokażcie nam Maryą, tę dobrą niewiastę, która w niebie jest i Boga ogląda.“ Mężczyzni żądali, aby ich żony i córki Maryą oglądały. Niektórzy się pytali, czy Marya matką jest Jezusa? a Kapłani odpowiedzieli: „Tak jest.“ Inni się pytali, czy Marya jest matką Boga? a ci odpowiadali stósownie do ich pojęcia. To czynili, bo wtedy jeszcze nie byli w stanie wytłumaczyć im, w jakiém znaczeniu Maryą matką Boga nazywają.

Gdy posłańcy wiary tłumaczyli mieszkańcom tajemnicę Trójcy Przenajświętszéj, przypomnieli sobie, że święty Patrycyusz używał listków koniczyny, uzmysławiając Poganom irlandzkim tajemnicę. Szukali i znaleźli na wyspie irlandzką koniczynę. Wnet z niemałą pociechą swoją dostrzegli, iż to objaśnienie pojęto. Ilekroć naukę zaczynali, szukały zaraz dzieci listków koniczyny. Kiedy dobrzy ojcowie zachęcali ich do cierpliwości i przypominali, że ich mowy jeszcze całkiem nie pojęli, nic nie zważali na to, ale wołali: „Uczcież nas jeszcze dzisiaj.“ Z tem wszystkiem błogosławieństwo Boga było z nimi. Dnia 21. Listopada przyprowadzono im właśnie 12letnie dziecko, które tak mocno kolki sparły, iż nie mogło stać prosto, lecz się okropnie po ziemi wiło, i lada chwilę ducha oddać miało. Matka płakała, i wszyscy mówili: „Ach dziecko umrze.“ Obadwa ojcowie uklękli i modlili się do miłosiernego Boga, aby dziecko uzdrowić raczył. Wzywali także przyczyny Maryi, aby niedopuszczała umrzeć bez chrztu dziecku. Wzięła matka precz dziecko, jak sztukę drzewa,

a Kapłani kontynuowali swą szkołę. Po skończeniu jéj udali się obadwa do chaty, do któréj dziecko zaniesiono, i zdumieli się, widząc je zupełnie zdrowem. Dotąd zdawał się dziad dziecięcia nielubić Kapłanów chrześciańskich, ale teraz rzekł do nich: „Zaiste potężnymi jesteście u Boga wielkiego. Jak lud zachoruje, rzekniecie do wielkiego Boga, i zaraz jest zdrowy.“ Wnet potém odwiedzili nieco odleglejszy naród téj wyspy, i dziecko im towarzyszyło i miało się dobrze.

Obadwa Kapłani mówili często z dzikiemi o chrzcie, jako o nadzwyczajnéj łasce, do któréj przy dobrém przysposobieniu się przyjśdź mogli. Wszyscy chciwie chrztu pragnęli. Obadwa Kapłani tłumaczyli im go często, i wpajali szczególniéj, że nikomu umierać niedopuszczą, nie wyszukawszy ich, aby umierający przed śmiercią jeszcze mogli się stać dziećmi bożemi i poszli do nieba. Raz naczelnik z Akamaru zaprowadził ich do pewnego starca chorego i rzekł: „Czas, abyście mu wodą głowę zmyli!“ Lecz ojcowie nie widząc niebezpieczeństwa, nie chcieli go jeszcze ochrzcić.

Krajowcy zaczęli już bałwanami swojemi gardzić. Już obudziła się w ich sercu miłość prawego Boga, którego im posłańcy wiary pełnym miłości przedstawiali, i całą ufność swoję pokładali już w Jezusie Chrystusie. Arnaino jest ogólném nazwiskiem krajowych bożyszcz, lecz każdy Arnaino ma swoje nazwisko własne. Dwa tylko z tych bożyszcz uważają wyspiarze za dobroczynne, sądząc, że od nich pożywienie odbierają. Inne są w ich oczach złemi, i dla tego się ich obawiają. Pewnego dnia przypadła na wyspie Akamaru ważna jakaś w ich oczach uroczystość. Według swych pojęć religijnych mniemali wyspiarze, że włosy były jakąś świętością, i że nie można ich obcinać, nie odpadając przez to od religii. Mimo to żądało wiele dzieci, aby im Kapłani obcięli włosy i spalili. Oświadczyli oni nadto: „że to ma spotkać ich bożyszcze, i aby na przyszłość tylko Jezusa Chrystusa jako Boga swego uznawali.“ Na tę uroczystość zebrali się wszyscy mieszkańcy wyspy, a na innych o niéj mówiono. Posłannicy wiary żartowali tylko, i dali im zapewnienie, że przez obcięcie włosów, wielkąby ulgę uczuli, gdyż potém nie będzie ich dręczyło robactwo, które ich teraz pożéra, że Arnaina wcale nie masz, i że się go zatem bać nie trzeba. Przy téj okoliczności żona naczelnika okazała się bardzo gorliwą; chciała się wyrzec Arnaina i na dowód swéj szczerości żądała, aby jéj wraz z dziećmi włosy obcięto. Naczelnik nawet, który z powodu rany na udzie chory leżał i chaty nie mógł opuścić, kazał zawołać księdza Caro i włosy sobie obciąć. Gdy obcięto włosy, zapaliły dzieci ogień i one spaliły. Dowiedli już przez to mocno, iż bałwochwalstwa odstąpili, lecz długo jeszcze nie nawrócili się do prawego Boga, gdyż panowały między nimi jeszcze gorszące występki. Nie byli więc jeszcze zadowolnieni z nich Kapłani i nieudzielali im chrztu świętego.

Król wysp był jeszcze bardzo nieprzychylnym religii chrześciańskiéj, a bożyszczom swoim najgorliwiéj oddany. Największa z wysp była jeszcze niejako zamkniętą dla posłańców wiary. Raz dopiero tylko głosili na niéj naukę Jezusa. Siostra jednak królewska, przybyła już w Grudniu, odwiedzała szkołę, aby się nauczyła czytać i żegnać.

Boże Narodzenie obchodzili ojcowie w Akamarze z całą okazałością, jakiéj im ich ubóstwo dozwalało. Wnętrze domu bożego ozdobione było kwiatami, (*) a na głowie Kapłana, który tajemnice święte odbywał, włożono wieniec z kwiatów. Na harmonice, którą Kapłani z Francyi przywieźli, wykonano niektóre mutety (muzykę psalmów). Wszyscy mieszkańcy zgromadzili się. Muzyka sprawiła im wiele przyjemności, a nauki, którą ojciec Caro udzielił, słuchali z uwagą.

W tym czasie kupili opowiadacze wiary łódkę za 50 piastrów (wielkich talarów), znaczną dla nich summę! Drugą zrobił brat Kolumban, ze szczątków statku, który im amerykański okręt zostawił.

(*) Przypomnijmy sobie, że te wyspy na południowéj półkuli ziemskiéj leżą, gdzie na Boże Narodzenie lato bywa.

Rozmaitości.

Najemnik żydowski.

(Opowiadanie méj siostry.)

(Nadesłano.)

Pewien Żyd z Leszna przychodzi często do domu naszego z towarami, ale nosi je zwykle zamiast niego ubogi najemnik, którego zawsze widzę bardzo znużonego z podróży i zmęczonego, z powodu nader wielkiego ciężaru, jakim obarczony bywa. Uważałam, że najemnik ten korzystał z chwili, gdy kupiec towary swe pokazywał i sprzedawał, aby zwiedzić nasz kościół; modlił się z wielką pobożnością i skruchą, tak, że mnie ten widok najżywiéj zajął. Zapytałam go pewnego razu, czy z losu swego kontent? czemu się podjął tak uciążliwego zarobku? Odpowiedział mi, że innego sposobu do życia nie miał, lecz że zarabiał sobie dostatecznie na utrzymanie, i że się na los swój nie skarży. Na dalsze pytanie, czy mu nie przykro służyć tak za najemnika u Żyda? odrzekł, że z razu mogło być przykro, lecz że ma sposób, za pomocą którego to cierpliwie, a nawet z upodobaniem znosi; przypomina sobie albowiem w każdéj chwili mękę Pańską, rozmyśla nad nią nieustannie, i gdy mu ciężar zda się za wielkim, albo dokucza zimno, lub spiekota, w ówczas stawa mu na oczy droga Zbawiciela na górę Kalwaryi; widzi, jak był ciężkim przywalony tłuczem, jak pod nim upadał, ile miał wreszcie od Żydów obelg do zniesienia. Myśli takowe tyle mu ulżywają, że zapomina o własném zmęczeniu, i o tém, że ciężar ponosi dla Żyda. Dodawał wreszcie, że tyle znajduje pokrzepienia w modlitwie i rozmyślaniu, że z losu swego zadowolniony, nikomu nie zazdrości, niczego nie pragnie.

Człowiek, co tak mówił, miał jednak odzienie ubogie, obuwie podarte i nędzną strawę dzienną. Jakże przykładem swym wielu zawstydzał, co nie umieją znosić z pokorą tego wszystkiego, co Opatrzność zrządza i zsyła. Oby wzór takowéj cichéj cnoty i pobożności nie był dla nas stracony! ileż to zasług możem sobie uskarbić do przyszłego życia, jeśli każden uczynek rozpoczniem od Boga, każdą nieprzyjemność i nieszczęśliwość Zbawicielowi i Najświętszéj jego Matce ofiarować będziem. — Żyła przed dawnymi czasy w Francyi ogrodniczka, która, acz kryjąc swą pobożność w pokorze, jaśniała cnotą najgorętszéj miłości względem Boga, a największego poświęcenia dla bliźnich. Wypytana przez Przełożonych o sposób, w jaki się ćwiczyła w cnocie, odpowiadała, że modlitwą i rozmyślaniem, któréj nie opuszczała przy żadném zatrudnieniu, wszystko odnosząc

do Zbawiciela; i tak n. p. péląc chwasty z ogrodu, rozmyślała o grzechach i wadach, z jakich się ma poprawić, i t. p. Modlitwę jéj codzienną spisano, i tak piękną była, że ją księża umieścili w Ołtarzykach (*) francuzkich, pod nazwą: *Modlitwy ogrodniczki*, którą tysiące i tysiące ludzi od wieku bogobojnie odmawia, a każde westchnienie modlących się na wzór owéj ubogiéj niewiasty, przyczyni się do jéj chwały wieczystéj.

W. M.

Lew świętego Gerazima.

W piérwszéj połowie piątego wieku, (mówi ksiądz Hołowiecki w swojéj Pielgrzymce do Ziemi św. odprawionéj), przybył tu nad Jordan z Licyi, sławny świątobliwością Anachoreta, pustelnik Gerazim, i nad brzegiem Jordanu założył Lawrę, gdzie siedmdziesiąt eremitów, pustelników było. W pośrodku Lawry, czyli Eremu, zbudował klasztór, w którym nowoprzybyli gotowali się do pustelniczego życia, i dopiéro po długiém doświadczeniu i znacznym postępie, pozwalał udawać się do Eremu. Lecz nie tylko surowe przepisy zaprowadzał, ale sam jeszcze daleko surowsze prowadził życie, i przez cały post tylko żył o jednéj kommunii. Ten święty pustelnik tak ułaskawił lwa, że wszędzie za nim jak pies chodził. W klasztorze był osieł, dla wożenia wody z Jordanu, i lew go pilnował, kiedy się pasł na pobrzeżu. Jednego dnia lew powrócił sam bez osła, bardzo smutny i upokorzony, a św. Gerazim myśląc, że go pożarł, kazał mu za pokutę wozić wodę na miejscu osła. Po niejakim czasie lew z wesołym rykiem przyprowadził straconego osła, ale z trzema wielbłądami, obładowanymi pszenicą. Pokazało się potém, że wielbłądnik, jadąc po zboże, zabrał klasztornego osła, lecz w powrocie spotkał go lew, i poznawszy swą zgubę, rzucił się z rykiem, a przestraszony wielbłądnik uciekł. Lew nazywał się Jordanem, i tak pięć lat spędził między pustelnikami. W czasie śmierci św. Gerazima nie było lwa w domu, lecz w krótce po pogrzebie przyszedł do klasztoru i szukał swojego starca. Opat Sabbocyusz, następca Gerazima, rzekł mu: „Jordanie, starzec nas sieroty opuścił i poszedł do Pana, ale na i jédz.“ Lew nie chciał jeść, tylko ustawicznie obracając się, tu i ówdzie patrzał i szukał starca z wielkim rykiem. Opat Sabbocyusz i inni starcy głaszcząc jego grzywę, mówili: „poszedł starzec do Pana i opuścił nas.“ Ale ani słowami, ani pieszczotami nie mogli go uspokoić, owszem coraz więcéj i smutniéj ryczał. Wtedy mu rzekł Sabbocyusz: „Chodź za mną na grób starca;“ a przyprowadziwszy go do mogiły Gerazima, odległéj o pięć kroków od kościoła, rzekł: „tu nasz ojciec pochowany.“ Potém ukląkł Sabbocyusz i ze łzami padł twarzą na grób świętego. Lew to widząc, i sam się rozciągnął z żałosnym rykiem na mogile i w tym smutku w krótce zdechł na grobie swojego starca. To się stało, dodaje Jan Moschus, nie dla tego, żeby lew miał rozum, ale dla wysokich cnót i rajskiéj doskonałości św. Gerazima. Bóg bowiem pokazał przez to, jak były uległe piérwszemu człowiekowi wszystkie zwierzęta, dopókąd żył w stanie niewinności i przez nieposłuszeństwo nie stracił raju.

(*) Książki do nabożeństwa.

Nakładem i drukiem *Ernesta Günthera* w Lesznie. — (Redaktor: X. *T. Borowicz.*)